

Odyniec

(Kazimierz Grześkowiak)

Weż Pon takiego jojecnika. Pon nie wie co to jojecnik. Jak bym nie widział, to bym nie mówił. Tak jak pana widzę, tak widziałem. Jak u nos drewno się suszyło przy piecu, to tam ten jojecnik siedział i piscoł. Tak pi, pii, piii. To matka aż mówiła: a bedziesz cicho, ty jojecniku utrapiony. A on piscoł te swoje ino pi, pii. Pamiętom do dzisiaj, jak się matka, Panie święć nad jej duszą, zezłościła, to wzięła tego jojecnika na szufelkę i do pieca wrzuciła. To ino zaskwierzało, takie ostatnie pi z siebie wydało i koniec...

Urodzony 1 marca 1941 r. w Ostrowie Wielkopolskim. Tam szkoła podstawowa i średnia. Rok orientalistyki w Krakowie (języki perskie), rok Seminarium Duchownego w Poznaniu i Katolicki Uniwersytet Lubelski (filozofia ze specjalizacją psychologia). Gdyby jeszcze raz żył, do seminarium jeszcze raz by poszedł i jeszcze raz wystąpił. To była wyspa, gdzie można było zastanowić się nad sobą, nie było pokus, nie było panienek, uciech tego świata. Gdyby miał dużo forsy, założyłby coś w rodzaju świeckiego seminarium, gdzie człowiek przychodzi sobie na kwartał. Rygor, wstawanie o wpół do szóstej, wszystko na dzwoneczki. Wojsko to jest pieszczota w porównaniu z tamtym rygorem. Jest milczenie, wolno mówić tylko godzinę dziennie, medytacja. I zapewne by mu się to udało, bo gdy opuszczał mury seminarium jako pupilek rektora, to beczeli obaj, jeden za drugim.

Potem zaczęła się muzyka, czyli śpiewanie. Pierwszy publiczny występ z gitarą miał w seminarium duchownym. Wcześniej grał na skrzypcach i fortepianie. Śpiewał Presleya. Studiując na KUL zakwalifikował się do finału konkursu piosenkarzy... gastronomicznych. Po czym śpiewał w Europie, Powszechnej, Lubliniance, Fafiku, skąd zwalniano go po kolei na życzenie orkiestry. I Bogu dzięki, bo być może do dziś telepałby się zachlany w którejs knajpie jako refrenista.

Na pierwszym konkursie piosenkarzy studenckich w Krakowie dostał się do finału i pierwszą recenzję pamięta do dziś: „podał się młodziutki Kazimierz Grześkowiak będący czymś w rodzaju chłopięcej Karin Stanek”. Na III konkursie była kompletna kłapa, nie dostał się do finału. Na

piątym zaśpiewał *Litanie do śmierci* Edwarda Stachury i *Czy już mnie nie kochasz*.

Stachurę poznał w trolejbusie, on jechał wtedy do Zygmunta Mikulskiego, u którego spał. Zgadali się, by wieczorem spotkać się na stacji. Po tej nocy gospodyni wymówiła Grześkowiakowi stancję.

„Wzięliśmy ze sobą jakąś wódeczkę, a Sted co tu dużo gadać - słuchałeś jego oryginalnych nagrań - to jest wiesz, wycie takie, że to strąca samoloty z nieba. Na gospodynię nie reagował, tylko śpiewał. Przeprowadziłem się wtedy do Kazika Pawełka i trzy lata u niego wynajmowałem. Kto wie, czy ja Kazika nie zaraziłem pisaniem, bo on był poważnym inżynierem, a potem poszedł w kabaret i prasę”.

Kiedy zaśpiewał *Litanie do śmierci*, Sted był oszalały z radości. To był fragment poematu *Po ogrodzie niech hula szarańcza*.

„Miał wprawdzie do mnie pretensje, bo ja trochę tekstu wyrzuciłem, trochę zmieniłem, trochę dopisałem. Sted jak każdy poeta, pełny Narcyz, nie mógł znieść, jak go można poprawiać. Potem jak wydrukowano, to fragmenty, które ja dopisałem, są w tym poemacie. Na przykład napisałem o śmierci „ciszo zatrzymywanych zegarów”, bo jak ktoś umiera, to zatrzymuje się zegar, Sted wrzeszczał, ale potem mu się spodobało. Stachura to był poeta, ale przecież z poezji on nie żył. On żył z pokera i w pokerze on nie był poetą. Był twardym szulerem”.

Z obiema piosenkami zaproszono Grześkowiaka na radiową giełdę piosenki, którą obie wygrały - ex aequo. Miał przed sobą dwie drogi: piosenkę filozoficzną lub ludową. W międzyczasie napisał *Panny z Cicibora* i został zaproszony do Opola. Dostał nagrodę za najlepszy debiut. W następnym roku pojechał do Opola z piosenkami *Chłop żywemu* i *Odmieniec*, zdobył główną nagrodę. Później było drugie miejsce za *To je moje*.

Jadąc na festiwal, który wygrał, był już w kabarecie „Pod Egidą”, o czym kabaret nie bardzo dziś pamięta. „Musiałem na sobotę i niedzielę jechać do Warszawy. Żeby mi się to opłacało, bo „Egida” była wtedy biednym kabaretem, brałem taksówkę i po występie jechałem do kabaretu Hanki Bielickiej gdzie występowałem dla strasznych burków, bo tam płacono mi cztery razy więcej. Siedziałem kiedyś w kawiarni z Tadzkiem Chyłą, dosiadło do nas takie wielkie, grube, łyse, czyli Jacek Irzykowski i powiedział: dlaczego wy właściwie nie śpiewacie razem. Popatrzyliśmy sobie w oczy i tak powstała „Silna Grupa”. Zespół działał cztery lata, o trzy za długo.

Z „Silną Grupą” był słynny skandal w Radomsku. Mówiłem „Portret Grześkowiaka wstrzemięzliwy acz sponiewierany” autorstwa Jerzego Dudy Gracza. Grały fujarki: **Szedłem do was z pól ojczystych/ Kołysała mnie piosneczka / i skrzypica tanecznicą/ i lipowa kolebeczka /**

I pastuszek na ligawce/ przez te łąki z babim latem/ gra i wiąże koniec pieśni/ z tamtym lepszym, bożym światem/I te wierzby i te chaty/ strzechą kryte niby wąsem/ i śniegu białe łąty/ i te malwy niby pąsem /Chrystusiki frasośliwe/ brzozy płaczą przy ruczaju/ a Anioły złotopióre/ Anioł Pański grają, grają/ Rolnik orze /księgi wieszczka już zbłądziły pod powały/Konik nóżką / ulan dziewczę/ a skroś tęczy orzeł biały/ Jeleń pasie się w gaiku / a nad stawem dwa łabędzie/ I tak dobrze /i tak cicho/ i tak, kurwa, zawsze będzie? Zrobiono z tego aferę, że ja niby parodiowałem „Dziady” Mickiewicza, a dziennikarska nagonka skończyła się dla mnie rocznym zawieszeniem, nawet Sejm się nami zajmował.”

Ostatnim podrygiem „Silnej Grupy” był występ na otwarciu Mistrzostw Świata w Piłce Nożnej w Niemczech, w 1974 roku, kiedy Polska zdobyła trzecie miejsce i srebrny medal. I Grześkowiak przestał śpiewać. Dziś mówi: „na następne ileś tam lat spuścimy zasłonę miłosierdzia...”

Bo Gęgale czy Gęgoła to pon zno? Tyz nie! Ponie, jak bym nie widział, to bym nie mówił. To się bierze z pierza. Jak pod pierzyną leży chłop, to z tego je Gęgom. A jak baba pierzynę grzeje, to Gęgal. Jak człowiek śpi, spod pierzyny dziubek taki wystowio i skubie po włosach, po rzysach, o wszędzie. Z tego, uczciwszy wasze uszy, to baby między cyckami mają gołe, a chłopcy to tyse się rodzą. Smarują się maściami, ale co to do, jak to robota Gęgały. A jak to wyglądo? Takie w kształcie pierzyny, tylko dziuplate. Jedyne rada, to kolo łóżka ziarna podsypać. Jak Gęgoła zacznie dziabać, puszcza się złapaną lasicę, ino trzeba ją wpierw święconą wodą. To ona weźmie i zadławi. Może tyż być święcony kot, ale to na zmarnowanie, bo myszmi się więcej nie zajmie...

Siedzimy w maleńkim mieszkanku, w wieżowcu obok kościoła św. Józefa na LSM. Miniaturowy przedpokój z kuchenną wnęką zastawioną przeróżnymi ingrediencjami i niewiele większy pokój, urządzone w brązach i złoceniach. W kącie ludowa szopka bożonarodzeniowa, którą kupił po pijaku od Jasia Popka. Nad szopką okaleczony Chrystusik ze zlikwidowanego cmentarza w Kalwarii, prezent od Jurka Dudy Gracza. Obok obrazy: góralska Madonna na szkle malowana, protestancki wizerunek złożenia do grobu, prawosławna ikona. Dalej dwie secesyjki, afrykańska rzeźba na sekretarzyku, nad łóżkiem barokowy aniołek wstawiony w piękną ramę i obraz Dudy Gracza. Setki książek, płyty, kasety i oprawione w ramki projekty scenograficzne, też Dudy Gracza.

Kaziu nie pije od ośmiu lat. Wstaje rano, na śniadanie zjada dwa ciastka kremowe i wypija kawę po turecku, najchętniej z dwoma ziarenkami kardamonu. Taką kawę stawia przede mną. Wspominamy wódę i silną wolę. „Po prostu śpiewanie zaczęło mi przeszkadzać w wódzie. W prawie każdym mieście Polski byłem po trzy razy, tak że trawa po mnie nie rośnie. I każde odkrywam na nowo. Bo co się zna: sałę, hotel i knajpę. Chałturzyłem, bo za coś trzeba było pić.

Było tego z osiem lat. Jak się żegnałem. kupiłem sobie dwadzieścia półlitrówek, wypłem to w sześć dni, pojechałem na cztery dni na odtrucie, żeby nie zwariować. Wychodząc ze szpitala powiedziałem: dziś koniec, basta! Bez żadnych odwykówek, bez wszywek. Jak ktoś nie może inaczej przerwać to niech wszyje. Tylko, że ja ze swoją naturą to bym czuł się, jak bym sobie wszył milicjanta pod skórę. Aha, to szczęście miałem, że moja bardzo dobra znajoma dr Mościbroda pracowała w Abramówku i zawsze, kiedy chciałem się odtruć, mogłem przyjechać. Dlatego bym prosił szpital w Abramowicach, że jeżeli ktoś przyjeżdża na odtrucie żeby mu tego nie utrudniać. Nie przeszkadzać! Zachęcać. Tak jak mnie zachęcała doktor Mościbroda: jak masz rano strzelić klina, to weź za te pieniądze taksówkę i przyjeźdź...”

Ludzie go już zapomnieli. Był kiedyś taki, miły był, „chłop żywemu”, ale wypadł z rynku. No i przyszła propozycja benefisu w Teatrze Stu. To był sukces. Program powtórzono w obu programach telewizji i satelitarnej Polonii. Ale gdy przestał pić, stworzył zespół, zaczął pisać i napisał do Opola w sprawie recitalu. „Była to największa moja klęska, największa moja klapa. Zobaczyłem, co zrobiło te osiem lat. Na sali było ze czterdzieści osób. Brawom nie było początku, ciszy nie było końca. Jedynym jasnym punktem było to, że na sali był cudowny człowiek, Zygmunt Konieczny. Powiedział, że jako całość to mu się bardzo nie podobało, ale było kilka momentów, że przeszły go ciarki. Uwierzyłem w siebie”.

Gdy patrzy za siebie, mówi, że swoje pięć minut w życiu już miał. Coraz bardziej idą latka, psychicznie nie chce już jazd, hoteli. Trzeba wiedzieć, kiedy odejść. Trzeba zrobić to ładnie, stopniowo. Przyzwoicie. Przystawia się na pisanie. Miał propozycję stałego programu w Polsce, ale jej mu przyjął. W gruncie rzeczy jest odyńcem, Samotnikiem. Nie lubi pracować w zespole. Niedawno zaproponowano mu lubelski benefis w „Hadesie”. Powiedział, że benefis już miał...

Śwecorza to znacie? Bo się u was na niego łognik mówi. Mój łojciec, świeć panie nad jego duszą, to miał takiego. Jak wrocął z gospody bo łojciec sobie lubli czasami, tego, chlapanąc, to ten świcorz szedł kawalek przed nim i mu świecił. Żeby w jakim rowie nie został. Żeby nie widziol, to bym nie mówił. Tak jak pana widzę, tak widziałem. Jak już łojciec był w drzwiach, to klaniał się głęboko. Bóg ci zapłać, świciorzu, mówił, teraz już sam trafę. Idź z Panem Bogiem...

Mieszka sam. Jest pięć lat po rozwodzie. Ten rozwód - mówi - ocalił ich miłość. Córka niewątpliwie ma wielki talent plastyczny, ale widują się rzadko, bo najcudowniejszym tatusiem nie był. Czasem spotyka ją na ulicy: wysoką, zgrabną, pięknie idącą, aż tańczy. I słyszy: dzień dobry tatusiu...

Historia prawdziwa, Bogu na chwałę, ludziom na piosenkę, historia banalna, temat trochę wstydną - jak śpiewa Edyta Geppert do słów Grześkowiaka. Tą pieśnią kończy się też wspianiały

film o pieśniarzu, poecie, trafnie portretujący lubelskiego odmieńca i samotnika. Grześkowiaka, którego nie znamy. Studiującego astronomię, zgłębiającego tajemnice rachunku różniczkowego, samotnego poetę i kucharza, byłego pijaka, który na śniadanie zjada codziennie dwa ciastka z kremem. Czasem w nocy dopadają go strachy przeszłości. Wtedy bronią go strachy przyjazne: jojecnik, gęgola, świecorz...

Jak o tych strachach mówię, to się śmieję że e tam, jakie strachy. A jo takiemu: A ziwnij pon! Kiedy mi się nie chce. No to niech się ponu chce! Ło tak: aaa... No to łon: aaaaa. I tu go mam. Tak sem podziwnął. Ziejokiem podziwnął. Jaki znowu ziejok, śmieje się, ale gembę coś mocniej sznuruje. Jakie zijoki. A takie, mówię, na podobność dmuchania. Taki wiater, ino mniejszy, bez to nie wiater, ale ziejok. Ja go tyż nie widziol, ale łon jest. Łon się żywi skisłym powietrzem i nudą. Siedzi se w człowieku. A jak mu się jedno nuda znudzi, to człowiek ziwo. Łon wylatuje i tak drugiemu przed ślipiami zamani, że ten tyż ziwo. Ja wrota. A ziejok ino hyc i wlatuje. Mówią, że ja też trochę zmyślom. A zmyśli pan taki kolor, żeby go w tęczy nie było?...